GRYF KASZUBSKI



PISMO DLA LUDU POMORSKIEGO

Nr. 11. Kartuzy, w sierpniu 1932 r. Rok I.

W odmętach zawiści.

Wśród wielu wad naszego społeczeństwa na pierwsze miejsce wysuwa się zawiść jednej dzielnicy do drugiej. A przecież każdy z nas jest synem jednej Matki-Polski, czy to Kaszuba z nad Bałtyku, czy to obywatel z byłej Kongresówki czy też, jak się często słyszy, „wybraniec narodu" z Małopolski.

My, Kaszubi, pomni swoich bohaterskich czynów w walce o odzyskanie Niepodległości Polski, dumni być powinniśmy, że złożona w ofierze na ołtarzu polskim krew synów kaszubskich nie splamiła naszego honoru i wysiłki, czynione dla przyłączenia krwią synów kaszubskich zbroczonej ziemi do Polski, nie poszły na marne — nie padły na grunt skalisty. Przeciwnie, wydały plon stokrotny ku chwale ojczyzny i przyszłych pokoleń. Dlatego też my Kaszubi powinniśmy pierwsi kroczyć do upragnionej zgody i jedności, trzymając kurczowo w ręku gałązkę oliwną, ten symbol pokoju, to berło miłości i szacunku dla braci Polaków. Gdy to nastąpi, wówczas zwycięży rozsądny i trzeźwy duch kaszubski nad porywczością, i triumfalnym pochodem wejdziemy w krainę braterstwa ludów, w tę, za którą nasi ojcowie wzdychali.

Warunku tego dotychczas nie spełniono. Brak miłości i zaufania, lekkomyślne traktowanie dobra sprawy w dużej mierze utrudnia zbliżenie i zżycie się naszego narodu. Każda z byłych dzielnic uważa siebie za owego „wybrańca", który przodować powinien w sterowaniu ło-

dzią państwową. Stąd ciągłe narzekania na tych, których języka się nie zna dostatecznie, lub na tych, którzy przychodzą i szczycą się wyższością kulturalną, a na każdym kroku okazują swą dumę, że mówią czystym językiem polskim, a swoich współbraci Kaszubów uważają za coś pośredniego pomiędzy wrogiem a przyjacielem. Tem się tłumaczy ogólne zniechęcenie, kończące się brakiem lojalności względem równych sobie współobywateli.

Są to rzeczy może o wartości minimalnej, lecz swą złością stopniowo zatruwają myśl i życie, początkowo jednostkom, a następnie całemu ludowi. Za tem idzie brak wiary w własne siły, osłabiające żywotność ludu. Do ostateczności jednak dojść nie może, bo my Kaszubi jesteśmy jakoby murem polskim, o który w przyszłości sąsiedzi głowy rozbijać będą. Hołdujemy hasłu: „Zgoda buduje, a niezgoda rujnuje“, a przekonamy się, że nikt nam z tego zarzutu nie zrobi, że będąc dziećmi wielkiej Polski, mówimy po kaszubsku, że mamy własny, lokalny sposób życia.

Doskonale pamiętamy, jak to za dawnych czasów, gdy narodowi polskiemu tchu zabrakło do dalszej egzystencji, do torowania sobie drogi wśród spisków i zdrad, zazdrości i dumy poszczególnych warstw narodu, jak zawrotnem tempem toczyło się szczęście Polski ku przepaści. To widząc inne narody, bacznem okiem śledziły nasze wstrząsy i czekały z niecierpliwością na dojrzenie upadku. Każy najmniejszy odruch niezgody, przyspieszający upadek narodu polskiego, poruszał naczulsze nerwy wrogów, czyhających jak żarłoczne sępy na swoją upatrzoną zdobycz. Samiśmy im wrota swojemi intrygami i niesnaskami otworzyli, poczem przyszli i przykuli nas do swojego jarzma, pod którego ciężarem się uginał lud Bogu ducha winien. Tak zazdrość zaprowadziła nas na tułaczkę, na niedolę...

Dziś, gdy wszystkie dzielnice spojone zostały w jedną nierozerwalną całość i Polska niemi oddycha jak odrodzonemi płucami, zginąć powinny owe spory, dzielące nas od siebie, a wspólna wiara w lepszą przyszłość zapewni byt nam i przyszłym naszym pokoleniom.

Więc, bracia Kaszubi! Nie zważajmy na prowokujące nas swą pychą kulturalną jednostki, przybywające

z głębi kraju do nas jako do ludu, stojącego w ich mniemaniu na ostatnim stopniu kultury! Wykażmy swojem pogodnem zachowaniem się, że jednostki te są w błędzie, że nie do wrogów przychodzą, lecz do swoich braci Kaszubów-Polaków, ściskających serdecznie ich dłoń braterską.

Jan Bilot, Kaszuba.

J a n P a t o c k.

Dzień świętego Jana na Kaszubach.

(Dokończenie).

Pewien stary Kaszuba opowiadał mi następującą baśń o tym „korzonku". „Żył niegdyś przed laty ubogi robotnik leśny. Wracał jak zwykle późnym wieczorem od swojej ciężkiej pracy, a miał jej jeszcze dużo w domu, gdyż posiadał krowę, którą musiał nakarmić. Tak i pewnego wieczora wszedł do obórki, lecz o dziwo! Krowy nie było. Napewno pobiegła do lasu, gdzie tyle razy żarła dobrą, świeżą trawę; teraz musi zaraz po nią pójść, bo w nocy mogłyby ją wilki pożreć. Szukając, długo chodził i błądził po lesie. Noga w bucie obtarła się i dokuczała boleśnie, gdyż w pospiechu włożył obuwie na bosą nogę. Usiadł więc na mchu, zdjął swą czerwoną chustkę jedwabną ze szyi, obwiązał nią bolącą nogę i ruszył w dalszą drogę. Naraz zobaczył za wielkim dębem skarb: skrzynie z czerwonemi dukatami, opodal pod kamieniem drugą i nieco dalej dużo srebra i złota, że za to wszystko możnaby kupić królestwo. Poco teraz jeszcze dalej uganiać się za krową? Trza będzie przynieść łopatę i siekierę i wszystkie te skarby wydobyć! Pobiegł więc do domu, a niezadługo przybiegł zpowrotem. Zanim jednak zabrał się do roboty, chciał zdjąć buty, gdyż przez drogę nasypało mu się w nie dużo piasku. Usiadł na trawie, odwiązał z nogi czerwoną chustkę — i naraz zginęły wszystkie skarby koło niego. Gdy bowiem szukał zaginionej krowy, do buta dostał mu się niepostrzeżenie „świętojański korzeń" i nienaruszony ukrył się w czerwonej chustce. Teraz jednak podczas zdejmowania buta wypadł i zaginął, a wraz z nim znikło tak bliskie szczęście i bogactwo. Krowę zaś pożarły wilki".

W mej młodości znałem kobietę, dziś już dawno spoczywającą w grobie. Niegdyś była kwitnącem dziewczęciem z niebieskiemi oczyma i długiemi warkoczami, a jej beztroską młodość opromieniała jasna jutrzenka nadziei. Lecz dość prędko zjawiły się troski i zmartwienia, choroby i nędza towarzyszyły jej przez całe życie. Wtedy biedna zasadziła ową roślinkę w swoim ogrodzie i przez niejedną noc świętojańską czatowała z czerwoną chustką jedwabną w ręku na rozkwit cudownego kwiatuszka — lecz nigdy nie zobaczyła tego cudu, nigdy nie przyszło do niej szczęście i nigdy — nie wróciła młodość. Owym korzonkiem jest paproć orlica, pleris aquilina, którego ukrytych kwiatów nigdy oko ludzkie nie zobaczy.

W nocy świętojańskiej dawno zapadłe miasta i zamki wychodzą na chwilkę z pod ziemi i dają znaki po sobie. Lud opowiada następującą baśń. Między Kamienicą szl. i Borucinem wznosi się wysoka góra, otoczona łąkami, przez które przepływa bystry strumyk. W dawnych czasach stał na tej górze zamek, w nim panował bardzo srogi pan, a okoliczni mieszkańcy byli mu poddani. Gdy ci nie płacili punktualnie dzierżawy i innych danin, nielitościwy pan zabierał im ostatni kawałek ziemi i całe ich mienie. W Borucinie żyła wówczas biedna wdowa z gromadą dzieci w wielkim niedostatku. Posiadała tylko jeszcze jedną krowę, karmicielkę jej dzieci. Gdy pewnego razu nie mogła uiścić swych zobowiązań wobec pana, ten kazał przez parobków zabrać jej krowę. Wtedy kobiecina, otulona w podarte łachmany, poszła na zamek i ze łzami prosiła o zwrot krowy, aby jej dzieci z głodu nie zginęły. Lecz okrutny pan nie znał miłosierdzia i kazał kobietę wyszczuć psami z podwórza. Biedna kobieta rozpaczliwie targała włosy, załamywała ręce nad głową i wołała: „Jeżeli moje dzieci mają umierać z głodu, to niech się te mury zapadną i mnie pogrzebią!“ Złorzeczenie wypowiedziała w złą godzinę. Niebawem okryło się niebo czarnemi chmurami, gęste błyskawice przeszywały powietrze, straszliwy grzmot rozlegał się dokoła. Zawyły wichry, ziemia się zatrzęsła i zamek ze wszystkimi mieszkańcami i skarbami zapadł się w głąb góry. Dziś miejsce to pokrywa orna ziemia. W nocy świętojańskiej jednak, w go-

dzinie duchów, ukazuje się zamek na powierzchni, a jego pan chodzi wkoło niego, dźwiga ciężką skrzynię, zawierającą jego skarby i prosi przechodniów, aby mu je odebrali. Pewnego razu szedł sobie wieśniak drogą z Kamienicy szlach. do Borucina. Pan zamku zastąpił mu drogę i podając mu skrzynię z pieniędzmi, rzekł: „Weź te pieniądze i zanieś je do kościoła w Stężycy, a ksiądz niech je rozdzieli między wdowy i sieroty“. Wieśniak, oglądając się, zobaczył na górze wielki zamek z potężnemi murami i wieżami. Ogarnął go tak wielki strach, że zostawił skrzynię na drodze i co tchu uciekł do Borucina. Gdy potem inni, mniej bojaźliwi wieśniacy pobiegli na to miejsce, zjawisko znikło.

Jan Patock.

Zwyczaje żniwiarskie na Kaszubach.

1. Demony zbożowe.

Lud mniema, że cała natura wypełniona jest przyjaznemi i niebezpiecznemi demonami. Pod domowym kominkiem gospodarują milutkie krasnoludki, na zamglonych łąkach nimfy wyprawiają swoje harce, w lesie rzadko bywa bezpiecznie i spokojnie, na bagnach błędne ogniki wabią przechodniów i ściągają na dno. Nawet pola i drzewa mają swoje demony. Obecność ich wysłuchuje się z poszumu drzew, z szemrania źródeł, z poświstu wiatru, ze szmeru dojrzałych kłosów. Są one tajemnicze, jak szum, szemranie, gwiazdy i powiewy. Jeszcze w dzisiejszych czasach wierzenia te nie zniknęły zupełnie, lud wierzy w demony, które w zbożu siedzą. Gdy tylko leciutko wiatr zawieje i zboże faluje jak morze, Kaszuba mówi: „Wjilk nëkô wowcë“. Nikt coprawda tego wilka nie widział, i ludzie nie mają nawet konkretnego o nim wyobrażenia, lecz jakoś wierzą, że tam być musi. Do dzieci, które bardzo chętnie biegają po życie i depczą zboże, by narwać modraków, mówi się: „Dzieci, nie idźcie do żyta, wilk w niem siedzi i was pożre!“ W innych okolicach jest to inny rodzaj zwierzęcia, które żyta strzeże i straszy dzieci. Pod Chojnicami mówi się: „Byk leci przez zboże“, — w Niemczech jest nim często siwek, w Turyngji dzik,

w Augustowie jeleń, w Holandji wściekły pies, jak również we Francji „le chien ragé“. Niezawsze zwierzę to jest postrachem dzieci. Na Kaszubach nawet straszy się leniwych i niezaradnych żniwiarzy takiem nawoływaniem: „Naprzód, prędzej! Wilk siedzi ci na piętach“. Robotnikowi, którego przy częstem zginaniu się przy koszeniu krzyż boli, zwykle się mówi: „Byk ciebie uderzył“ — albo — „Kozieł ubodził“. Zbożowy wilk jest więc demonem w postaci zwierzęcia, strzegącego zboża przed urwisami i naganiającego robotników do pracy.

Lecz jeszcze inny demon harcuje w zbożu: jest nim pół-zwierzę, pół-człowiek. Kaszubi nazywają go „žëtnô mac“; w innych częściach Pomorza i Poznańskiego nazywa się go „babą“. Lecz o tym demonie ludzie mają już realniejsze wyobrażenie: „žëtnô mac“ mieszka w podziemnej norze, którą lud nazywa „piecem“. Tam pali się ogień, rozgrzewający piec. Ta żytnia matka jest niby niewieściego rodzaju, lecz ma dużą żabią głowę z oczami byka, z których buchają ogniste płomienie. Piersi jej są niebywale długie, tak, że może je przez ramię przerzucić. Jeździ zwykle na ogromnym wilku, trzymając w rękach widły. Dzieci, które spotka w życie, porywa do swojej nory, przedtem kładzie im do gardła swoje długie piersi i oczy smołą zalepia, w piecu ich smaży i pożera. Ta „žëtnô mac“ znana jest w każdej okolicy.

Jak „žëtnô mac“ jest postrachem dla dzieci, tak znowu „przëpołudnica“ — „przypołudnica“ jest postrachem dla dorosłych. Harcuje po polach i łanach, gdyż nie siedzi, jak wilk albo „žëtnô mac“, stale tylko w życie, lecz wędruje z miejsca na miejsce. Jest nią brzydka baba niezwykłej postaci. W towarzystwie wilków i dzikich psów wędruje po polach w porze obiadowej, gdyż nie cierpi, gdy kto w porze obiadowej przebywa na polach. Jeżeli napotka dzieci, chwyta je i każe im wyczesywać sobie czarne jak smoła włosy, iskać wszy i je zjadać. Kosiarzy, kładących się na miedzy na południową drzemkę, potrafi zbić do tego stopnia, że przez cały dzień nie mogą się ruszać.

Na niektórych polach jednak „przypołudnica“ występuje w postaci pięknej dziewicy, w białej sukni, opasa-

na złotym pasem, za którym tkwi sztylet. Pewien młodzieniec zauważył pewnego razu w zbożu palący się ogień. Gdy podszedł bliżej, zobaczył piękną dziewczynę, grożącą mu śmiercią, jeżeli nie rozwiąże zagadek, które mu zada, do 1-szej godziny. Więc pyta: „Co kwitnie bez kwiata?“ (Paproć).

„Co bieży bez powodu?“ (Woda).

„Co śniegiem bieluchnym w skwarnem lecie leży?“ (Piana wodna). Wtem na wieży kościelnej wybija godzina 1-sza, dziewica w tej chwili traci moc nad młodzieńcem i oddalając się, udziela mu jeszcze kilka mądrych rad na życie i miłowanie. Chłopców mniej ładnych zabija, pięknych trzyma w swojej niewoli.

Złe demony, dla których lud nie ma żadnej nazwy, są brzydkiemi postaciami (Krósnjóczi — Kobolde). Zatrzymują się pod dużemi kamieniami i na skrajach pól i łąk. Te specjalnie polują na malutkie dzieci, których matki, zajęte pracą w polu, zostawiają na skraju pola. Porywają je i na ich miejsce kładą w poduszki brzydkie postacie. I tak pewnego razu wzięła kobieta swoje małe dziecko z sobą na pole, poszła do pracy, a dziecko zostawiła na skraju pola. Gdy matka powracała wieczorem do domu, znalazła dziecko zupełnie zmienione. Ciągle płakało i zupełnie się nie rozwijało, zato odznaczało się dużą głową. Licząc lat dziesięć, nie przewyższało wzrostem czteroletniego dziecka. Pewnego razu znów, gdy wieśniak powracał z pola z ciężko naładowanym wozem, zaczepił tylnem kołem o płot ogrodu. Daremnie kazał chło
swoim wóz na drogę wyprowadzić. Sąsiedzi, któ
biegli do pomocy, również daremnie się wysi
przybiegł z pokoju z za pieca, gdzie zaw
ułomny ów chłopak, podlazł pod wóz,
ny tem ciężar i bez trudu zaniósł d
żył wieśniak, że wychował „b
żył go i z całej siły okła
nast ...nie na śmietnisk
nie znalazł chłopca
Tak samo
Wychowała
dzić, lec

-ali.
-że wysiał
podźwignął o
-o szopy. Teraz za
-skórta“. Wieczorem o
-dał dużym kijem, wyrzuca
-o. Następnego dnia w takim s
swego na śmienisku.
zamieniono dziecko pewnej wieśniacz
-niedną istotę do dziesięciu lat, lecz
-wo mówić się nauczyło, stale

wnego wieczora wyszła kobieta na podwórze, zastawiwszy poprzednio stół jedzeniem, by robotników zawołać na wieczerzę. Zdziwiła się jednak, powróciwszy do izby: jedzenia na stole nie było. Następnego dnia wieśniaczka powtórnie jedzenie na stół postawiła, sama wyszła na strych i przez dziurę przyglądała się, co się stanie: dziecko wyskoczyło z kołyski, w kilku minutach połknęło jedzenie dla dwunastu ludzi i znowu położyło się do kołyski. Poznała, że chowała „bękórta“. Zbiła je do krwi i wyrzuciła również na śmietnik, gdzie następnego dnia znalazła swoje prawdziwe, płaczące dziecko.

Jak z powyższego wynika, lud kaszubski zna cztery rodzaje demonów zbożowych. Postać zwierza ma wilk żytni, pół-zwierzę i pół-człowiek to „žëtnô mac“, ludzką postać mają brzydkie i ładne „przypołudnice“, wreszcie dziwolągi są to demony, porywające dzieci. Wilk i „žëtnô mac“ żyją w zbożu, ostatnie dwa rodzaje w polach i na skrajach lasu. Pierwsze są postrachem dla dzieci, ostatnie dla całego ludu.

A. Budzisz (Puck).

Mëmka szóns przińdze.

Z vojnë bolszevjickji.

Trzôsk a vrzôsk vojenni bëł znjemjałi a wucëchłi, bjôtka beła bjitô, kanónë mjilczałë, ropa pulvru bëła rozlecałô. Zaczęło so szukanje renjonëch, pochovanje zabjitëch. Strasznë vëzdratkji bëdovałë so wocząm. Jô szed na smętôrz, dze pravje poległëch chovalë. Nje bëło dalëk do njesenjô, bo nôdëchtovnjé leżałë trupë na samim smętôrzu. V tórmę koscelną granôtë mjałë vjelgą dzurę vëdlëbąné, plebanijô bëła przedzuravjonô, v jizbje ksędza tkało jednôsce kulóv.

V tim pjęknim, dalëk zérnim koscele leżałë renjoni v tak gęstëch szëchtach, że le jak nôvostróżnjé so mjidze njima przedërchac móg, abë żôdnëho njevupokojic. Njejedni zgrużdżëłë so v krziżgękach koscoła, doch nôvjikszi dzél leżił v kół wôłtôrza a podzérałë do krziża. Gruze wôłtôrza a organóv bëłë vëvlekłé, wokna potrzaskąné, cali

dom Boži ze svojimi mieszkańcami beł machtné kozanje: — ol'jta vszëtce do mje, chtërni va mozolni a wobczążoni jesta, jô vaji skrzepję. — Jó, jó, vszëtce bëlë zrenjałi a wobczążoni. —

Hevë leżił żołnjérz z rozgrochotąnim czaszkę, dregjemu plec bëła wurvąnô, won leżeł v konanju. — V vjelgjë plôchce jinaczé njeszło — spuscele sanitetrovje go v grób, henë leżił jeden nagji, a jeho załómąné wocze mu njicht nje zacësnął, wone zdrzałë sztivno z głębji cenji pod njebo, brakło vszëtko: voda, słoma... Vedle tëch podrëszających, a sérce rozedrzącëch scenóv przëszed jô do wobraza Mëmkji Boskjé. — Co za smutni vezdrzatk! Pod njim leżało sztëka dvadzesce trupóv, njejedni z półôpnema załómąnema wocżóma, chtërnë rëchtovąne bëła do Mëmkji Scna Bożého, drëgji znô trzimalë koronkę a krziże v zesztivnjałëch pôlcach, gvësno z wozëbłëma lëpóma do smjercë so modlëlë z zdrokóma ful nôdzeje.

Słońce zachôdające rzucëło svoje wostatné promë na pole, kjej jô ten môl żnjiva smjercë wopuscëł. Na rżmje, dze baterejô stôva, stoerczëła zabëto vëcérka kanónë. Kole tého drągu leżił kanonira, woba golenja kula mu mja rozervąnô, kamrôce mu tornëstël jak zeglóvk podsënęle, krvavenje bëło vjelgje, wopatrënk nje beł vłożoni. Won leżił vezdratknje bez nómjeszého bolu, spokojnje przë ful przëtomnoscë. —

— Boli Vąm cóż? — Njé, njijak! —

— Jô Vas wopję bańdażą; może Vë môce do svojëch co do wobsztelovanjô? —

— Muszę jô wumrzéc? — vëpch won bolesnje.

— To gvës njé, ale Vë jesce czężko renjoni, a zichjer mdze długo varało, jaż Vë svojich wuzdrzice! —

— Jô le mjeszkąm pôrę mjil stąd, mëmka to grzemjenje kanonóv czëła, wona przińdze a mje sobą veznje! —

— Hevë z wokolëcë vszëtko wucekło.

Moja mëmka szóns przińdze, to jô gvës vjém. Wona mje vjedno pomogła, wona mje téż dzis nje wopusci. —

— Procëm své volë jô doch baro żorgalną minę pokozôł, bo won jëż rôz pëtôł: — Muszę jô wumrzéc? —

— Vë tu barzeczko v zôkrecim leżice, lepjé bë bëło, kjej Vë bë bële v lazarët transportirovąni, naszi lëdze bë moglë Vas letko przewoczëc! —

— Boskô vola! Moja mëmka szóns przińdze — rzek won ze słabim głosę.

Won prosił wo wodę, to perżnę, co jô mjôł, bëło zbrëkovąné. Jô mu przërzek, żebëm jile możnoscë z vodą nazôd przëszed a ridovôł do blëżé vsë.

Zichjer pół godzënë so mjinęło, kjej jô nazôd przëszed. Ju wogarnęłë go cemné czade smjercë. Tuknęło przez jeho całe cało, won vëcignął a rozdłëżił so a leżił bez rëchu. Żëce bëło wulecałe. Ale jëż rôz wotemk won woczë, rëszałë so jeho blade lëpë, a jô zgjibający so nad njim, doczëł te słova: — Moja mëmka przińdze. Bogji wusmjéch wosłonjił jeho lëpë, leżił jak cëcôk wuspjoni v klinje mëmkji. Ten momęnt mje barzo zrësził. Jak cenjô stojił ten sztocëk przed co rôz to cemnjészim njebę. Jô wuklek a serdeczne modle za zmarłého do trónu Boskjého słôł.

Knapno jô nazôd bëł zaszłi do lazaretu polného, wożdało mje stôré babsko v wubożëchnim, ale czëstëchnim klédënku. Wono wlekło wobszerni pińdel, v chternim pjerzënë bëłë. Z krzëczonim głosę povjôdało, że przëszło z jedni le kjile mjil odległi vsë, że bëła gdova a so z córką pranjim żëvjiła. Jé sin bëł ve vojnje bolszevickji, tej ji bezpjek nje dało, wono so strachovało, że sin renjoni bëł a leżił v lazarece. Wona z córką że le jedną poscel mja, v chtërni wobje vecmanji spałë. Córka spôvô że terazkę na sztreji, a wona vzę poscel dlô chorého sëna. Tak wona z pjerzenóma a zegłôvkóma v płôchce zavinjonema na puklu przëszła, bëła ju na różnëch stacejónach, ale sëna nje trafjila, bo v svojim njebezpjeku zabëła akurôtną vjédzę vëkuńdovac, sostra Elżbiëtanka vnédze nją so wopjekiva, a ję do nas przeprovadzëła. Tu wona mëslëła sëna nalezc a mu mjitkji domôci lôgjer poscelëc.

Nalazła sëna — ale ju mjitko zascelonégo — kole vëcérkji kanónë — v klinje zemji. Zgjętô a zrëszonô szła wona z pjerzenóma dodóm do córkji na słomjanim barłogu.

H. Czernicki.

Sztërolystki.

11. Dwie moewe.

Moewa godąno sę baro od moewë odróżnio pisąny,
Boe chto godo, ten może i woekę i ręką dopoemoc,
Ale pisąnech ju słów jak w marmurze rylcę wëkutëch,
Tech nie zmieni wësyłk. Jak sę je dało, tak są.

12. Głupo gęs.

Gęs po woedze płëwając, kiéj uzdrza swoejigo wroga,
Strasznie sę zlękła i łep le głębok w toni zanórzy.
Głupo të, głupo gęs! Bo wësok nogi stopérczą,
Za nie ce złapi lës, smaczny urządzy so żer.

13. Ród Judaszow.

Czë to je prowda, że Judosz sę w pewnym urodzył miesce?
Zdowo sę, że tak je, bo zdrada sę jego koscérzy,
Ród sę jego plemieni i dalszy ju woekrąg zaléwo.
Kiéj go nie weznie złë, cały on skazy doróbk.

14. Cno spółproca.

Chcołbë të zemną procowac? — To znaczy, miły paniczku?
Nen mu po cëchu rzek: Ko łëpic i krasc i urëwac,
Co le sę udo, sę chce. Ten odrzek i wąse pocygo:
W taki roboece jaż rod udzoł mdę wiérny jo broł.

15. Dzyrsko, Gryfie!

Wëlecył Gryf, to chwała, i wësok dąży pod niebo,
Ale wrzosklëwy trój drzyszczącygo w błotku gadzéństwa
Drze sę, gulgoece i gdocze, jaż miło słechac rozgwëru.
Płeni le, Gryfie, wzwyż, w błone nie sygo ich trzap!

Z vjerzenjô kaszëbskjého lëdu.

Njech njeboli mje — ale boli ce...

Zebrôł J. Trépczik.

Rôz jednę bjałkę poczęle baro zębe bolec, że noce njimogła spac. Przevrôca sę v pjerznach z jednégo boku na dregji — chca wusnąc, ale njimogła te dokôzac. Zębe jak bolałe, tak bolałe. Bez całą noc jęcza ë skęcza — całë dąsła bełë jak v wognju. Jé sę tak zdôvało, jakbe żôląci vęgle chto donech dąsłóv przekłôdôł. Renechno, jak leno

sę vjidno zrobjiło, veskokła bjałka z vér. Zarzuceła nase své ruchna ë vëbjegła z chëcze. Calechné dopôłnja czurpa wod jedné do dregji babe ze vse, cobe jé wulżełe. Kożdô z nech bôb jinaczé né bjałce z radą szłe. Jedne przekłôdałe zaczarovąné zela — drëgji zębe zażegnivałe. Na njick jednak ne vszëtkji bełe kuńszta. Tak z vjôlgjim jiscenjim nazôt jidze dodóm, głosno téj sé svój jiver vepovjôdając.

Vnim procem njé jidze dzirskjim krokjem młodi parobk, z palecą v ręku ë sztódentovą czôpką na głovje. Jak bëł krótko né bjałkji, czëje: „A mój Boże — Boże mój!“ Przëstanął, a sę pitô bjałkji: — Co vami je że sę tak jiscice?

— A Boże jo — rzekła bjałka — mje tak zębe bolą, że njevjém so njiżódné rade. Bëła jem vszędze a njicht mje njimoże pomoc. Może vë pańcu vjéce co na zębóv bolenjé?

Sztôdent posłechôł, jakôs mesel mu do głove muszeła przińc, bo sę wusmjôł ë rzek: — Zaresku vamô radę veszukąm, le muszice v to mocko vjerzec bo takbe z te njick njebeło.

Vëjął z pazeche notës, pomeslôł sztërk, a téj napjisôł na szteczku papjora po łaceznje: „Njech njeboli mje — ale boli ce“. Vërvôł nę kartę, dôł bjałce ë rzek: — Bjéce teresku dodóm, a jak tam będzece, to przëłożce ten papjórk na zębe ë móvce: — Njech njeboli mje — ale boli ce, — tede woprzestaną bolec.

Vzął sę sztódent ë szed dalé. Po môłim sztóce wobezdrzôł sę za bjałką ë wostôł stojąc. Njimóg sę od smjéchu strzëmac, a do se rzek: „To jem bjałcësko vëszekovôł, chtërno v gusła vjerzi“. V chteren czas potemu mjôł wo tim zabôczoni. A no zjivrovąné bjałcësko jakle parg dodom przestąpjiło, vzęło sę nen papjórk przëkłôdac na zębe a gôdało: „Njech njeboli mje, ale boli ce“. Jakbe kam v wodę cësnął — zębe woprzestałë bolec.

* * *

Zbavjiło pjińcnôsce lat. Sztódent, wo chtërnim gôdka, je dzisô proboszczę na parafjij. Zdôrzô sę, że jému téż zębe poczęłe bolec. Czestô męka. Jézdzi wod jednégo doktora do drëgjiho — a në zębe jak bolą tak bolą. Lëdze jak no lëdze, vnetkę dostele vjédzą, że jegomosca zębe baro bolą. Tak jidą na plebanję ë gôdają, że na pustkach mjeszkô bjałka, co rozmjeje chorosc zęba velékovac. Choc

to ksąc ledkjim gôdkom njedôvôł vjare, kôże róvnak nę bjałkę dose dac wołac.

Kanęła stareszka v proboszcza jizbje, vëjimô papjórk zeżôłkłi, a chce go ksidzowi na gębę przëłożec. Ksądz na to vzérô a sę pitô bjałkji skądka ten papjórk mô? Wona zôs na to: — Kjile lat tému dosta jem go wod jednégo młodégo parobka kjej mje baro zębe bolałe. Jak jem ten papjórk przëłożeła na zębë a rzekła: — Njech njeboli mje — ale boli ce, — tej zare woprzestałe. Ksidz zbladnął jak scana. Wzął nę kartę z ręku bjałkji ë rzek do njé: — Vjéce vë wod kogu vë ten papjórk môce? Won je wodmje. Jô jem bëł tim parobkem co vami go dôł. Z głëpote jem to zrobjił, a vë v to wuvjerzele. Za to bëlebë jesme woboje potępjoni.

Vzął so ë porvôł nen papjórk, cëskając go v pjéck na spôlenji a zębe go v tim samim sztërku woprzestałe bolec.

Kjile słóv starodôvnëch.

gard — gród
wogard — ogród
parpac — paproć
barda — broda
parg — próg
parmjiń — promień
karva — krowa
varna — wrona
vark — zawód
jari — roczny
elba — miła, luba
reńczik — kij pasterski
womolëce — pokryjomu
cerpjisko — cmentarz
kôc — stać (stawić się)
szczałba — łupina
skoma — tęsknota
dejô — duch, pojęcie
jista — istota
jesta — byt, jestestwo.

Zebrôł L. Czajôszk.



Guczów Mack gôdô:

Vitôjtaż! Chcemë le so zażëc! Pjisôł jem vama wostatni ˈrôz moje żëcé v Varszavje, jak jem sę ną harbatą wurznął, a poprôvdze jesz dzis tak chodzę, jak gęs napjitô. Ale va le nje vjéta co wona może dopjérzë trzeciho dnja v nocë. Słechôjta le lëdze, co mje sę po nji sniło:

Snjiło mje sę, że jem wumar, a svjęti Pjeter wotmikô kluczę (ten klucz vëzdrzôł tak, jak Szmul z Nalevków a nos długji pasovôł decht pravje ,v tę dzurkę ząmkovą co bëła tak vjelgô, jak Goljata bót) njebjeskji vrota ë gôdô do mje: „Pojle Macku, takjich jak të, më tu brëkujemë". — Tak ma so ze svjętim Pjetrem nôpjervi zażëła jesma, że won jaż kjichnął tak głosno, że ni vszëtcë djôblë v pjekle wod strachu lincuchami zgrochotelë. „Jo — rzek Pjeter — taki jem jesz nje zażivôł; vjéż Macku, że dlô samého tvého roga tobacznégo bëłbës do njeba przëszed; ale povjadôże co novégo tam z Kaszëb, to jem barzëczko czekavi".

Rzek jem vszëtko jak bëło, a won le mje po remjeniu poklepôł ë rzek: „Kaszebóv Pun Bóg njigde njewopusci, bo to lud wëbrąni, a jistnjec mdze do kuńca svjata. Będzë gvës słóv mojich Macku, a teru le so bjôj do krôjinë njebjeskji, skądka szc·ëslëvi zdrzec możesz na wojczezną tvoją „Modrą Krôjinę". — Szed jem wobzerac rôj njebjeskji ë szëkac Kaszëbôv, le jakos, że vszëtcë dosc vësok sedzelë, njimóg jem njiżódnégo dozdrzec. Poskrobôł jem sę po łësé banji ë vëjął róg. Le skorom to zrobjił, tej jak na komendę poczëlë sę vszëtcë do mje cesnąc. Przëszed ksążę Svjętopôłk, Mestvin, przëszed Cënova, przebjég łgôrz Derda, co to całé njebo fąfkami zabôvjô ë jesz vjele jinszëch. Wonji zażivelë, chvôlëlë tobakę, pjitelë sę vjele rzeczi ë vjele wopovjôdelë, a takô bëła radosc, że ji anji jęzek nje napjisze, ani ręka nje vëpovjé. Są tam v njebje nôrozmajitszé lëde, z nôrozmajitszëch stron svjata. Vjidzôł jem Polôchóv ë Kaszëbóv, Frańcizóv i Afrikańczików, navëtka żëdóv, jak Abrahama ë vjele jinszëch. Vjidzoł jem królôv ë Łazarzôv, baro możnëch ë decht bjédnëch. Móg bë jem tidzenji wo tim pjisac jak tam je, ale va to doch vjéta, że „jako w njebje, tak ë na zemji".

Kjej më sę tam ju dosc nagôdële, tej jem so szed kąsk aparat, na wustronję, skądka jem móg dobrze vjidzec całé Kaszëbë. A bëlë wonë tak pjękné, że mje sę poprôvdze żôł stało, bëc w njebje. Meslôł jem nad tim, jakbë sę

tam nadół dostac, bo vësok to bëło jak paraluż. Ale nôgle mje przëszło do głovë, że kożdi njebjeskji mjeszkańc móg sę zamjenjic v co won chcôł. Tak jem sę długo nje namiszlôł, lem sę v pajika zamjenił, bë sę na vłôsno wusnëté pajęczënje na dół spuscëc. Z raza to szło czesto dobrze, le vkrótce mje zafelało pajęczënë. Tej jem tak vjisôł na pajęczenje v wobłokach, mająci nogii, ręce i głovę na dół przez całé czas. Mjôł jem wumjerzoni na Vjeżëcę, le żë przëszed vjater, co mje v dołë wunekôł, bëł jem bezradni. Ale nawostatku dobëł jem vszëtkji mocë, a tej jem vëcësnął jész zacht kavał pajęczënë, cobë sigło — ale żem przëtim pravje wodeck ë postrzég, co to za djabelnô pajęczëna bëła

Gôdąm vama lëdze, że to gvës ta varszavskô harbata, co to trzecé nocë ve snje może vjicé, njiżle liter ricnusu... Chcemë le so zażëc!

Z Kaszub i o Kaszubach.

— **Nadużywanie nazwy Kaszubów.** W ostatnich czasach mnożą się wypadki, że w celach partyjno-politycznych nadużywa się nazwy Kaszubów, by w ten sposób słowem tem w nieświadomej spraw pomorsko-kaszubskich części społeczeństwa polskiego wzbudzić pewne dla siebie sugestje. Operuje się tym wyrazem jak pustem hasłem-frazesem.

Jesteśmy pismem apolitycznem i dlatego nie chcemy wymieniać faktów konkretnych, wystarczy powiedzieć, że są to najczęściej te żywioły, które zasadniczo nie uznawają ani odrębności charakteru kaszubskiego, ani wogóle nazwy Kaszubów.

Przeciw tego rodzaju praktyce wyrażamy na tem miejscu jak najenergiczniejszy sprzeciw.

Ziemia kaszubska jest coprawda wskutek wysuniętego położenia godna troski i uwagi powołanych ku temu czynników oraz całego myślącego społeczeństwa — ale ziemia ta nie potrzebuje małpiej miłości niepowołanych, którzy właśnie wowczas najbardziej troskają się o nas, kiedy ich najmniej potrzeba, a kiedy mają przyłożyć rękę do dzieła, to ich niema lub pienią się ze złości konkurencyjno-partjotycznej.

Ludność kaszubska, jako równouprawniona część ludności całej Polski sama potrafi się zastąpić tam, gdzie potrzeba, i gardzi po żydowsku narzucającymi się adwokatami.

Gorzej jeszcze się dzieje, że ci sami fałszywi obrońcy przy różnych sposobnościach rozmyślnie pomijają prawdziwych przedstawicieli Kaszubów, świadomych swego charakteru i spraw kaszubskich, a wysuwają albo siebie samych, albo dla zewnętrznej przyzwoitości osoby, nic nie mające wspólnego z Kaszubami, a nawet Kaszubom wyraźnie wrogie. Cel partyjny i samolubny takiej gry zwykle dobrze jest ukryty i dopiero później wychodzi szydło z worka, gdy rzecz jest ubita.

Ludność kaszubska wyprasza sobie zatem, by jakiekolwiek instytucje, związki, pisma, partja lub poszczególne osoby po faryzeuszowsku określały pewien odłam społeczeństwa pomorskiego jako kaszubski dla prywaty lub

w cenach partyjnych. Inaczej zaczniemy je demaskować w poszczególnych konkretnych wypadkach.

— **Potworną i głupią napaść na Kaszubów** spotykamy w nowowychodzącem piśmie polskiem, warszawskim „Przeglądzie Krajoznawczym“ pod red. p. Grzybowskiego. Mowa tam o Wejherowie, że społeczeństwo miejscowe, wychowane w obcej kulturze, opornie przyjmuje kulturę polską, a nadto „mało jest uspołecznione, niewyrobione, chwiejne pod względem narodowym, etycznie niezbyt wysoko stojące“ i t. d.

Za bezdenne głupie te słowa, które chciałoby się zpowrotem w cuchnące usta wtłoczyć, najlepiej pogardą się odpłacić. — Niestety nie można zeszytu tego w księgarni nabyć, może wydawców wstyd??!

— **Kaszubi murem obronnym Polski.** W Domatówku w powiecie morskim zebrani na wiecu Kaszubi powzięli rezolucję: My, obywatele gminy Domatówko, Polacy-Kaszubi, wierni naszej najdroższej Ojczyźnie, Rzeczypospolitej Polskiej, nie pozwolimy na żadne próby naruszenia czemkolwiek całości naszych praw lub granic przez zachodniego sąsiada.

W stosunku do wolnego miasta Gdańska wyrażamy bezwzględny bojkot gospodarczy w odpowiedzi na narzuconą nam walkę przez gniazdo hitlerowców, które tam znalazło swój przytulek, obrażając uczucia narodu polskiego.

Wara od morza, bo nad morskim brzegiem,
Wierna Narodu Kaszub czuwa straż —
I dziejów losem i przeznaczeń biegiem:
Bałtyk był polski, jest i będzie nasz!

— **Wystawa malarska w Gdyni.** Pod protektoratem p. wojewody pomorskiego, Kirtiklisa, otwarła Pomorska Szkoła Sztuk Pięknych w Grudziądzu 3 lipca rb. w Gdyni wystawę malarską pod znakiem kaszubszczyzny.

— **Muzeum regjonalne w Tucholi.** Magistrat miasta Tucholi rozpoczyna budowę wielkiego gmachu, w którym mieścić się będzie muzeum regjonalne Borów Tucholskich. Zbożnemu dziełu posyłamy najszczersze „Szczęść Boże“ a życzyć należy, żeby i inne miasta Pomorza poszły w ślady kulturalnej Tucholi.

Nakładem Spółdz. Wydawniczej z o. p. „Gryf“ Kartuzy, Wzgórze Wolności 5a,

Komitet redakcyjny: Dr. Aleksander Majkowski w Kartuzach, dr. Władysław Pniewski w Gdańsku, ul. Am weissen Turm 1, Stanisław Brzęczkowski w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4.

Za redakcję odpowiedz.: Stanisław Brzęczkowski w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4.

Przedpłata wynosi rocznie 3.50 zł. — półrocznie 2 zł. — kwartalnie 1 zł. — pojedyńczy numer 35 groszy.

Cena ogłoszeń: cała strona 120 zł. 1/2 str. 60 zł., 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł.

Konto P. K. O. 200431.

Czcionkami drukarni „Gazety Kartuskiej“ w Kartuzach.